NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

ROK III. NR. 2. LUTY 1936. CENA 25 GR.

ROK II. LUTY 1936. NR. 2.

Nasz Wyraz

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

Karol Barczewski.

RUDYARD KIPLING.

Urodził się 30 grudnia 1865 roku.

W czterdziestym roku życia miał już poza sobą te wszystkie swe dokonania literackie, dzięki którym zdobył zasłużoną sławę.

Śmierć Rudyarda Kiplinga przed trzydziestu laty stałaby się ewenementem życia kulturalnego. Teraz wspominamy jedynie pisarza, który już dawno odszedł. Rudyard Kipling przeżył swój genjusz.

Jak Bret Harte — bohater jednej z jego książek — przedwcześnie dojrzał — przedwcześnie spalił się wewnętrznie.

Mając lat 18 jest już współpracownikiem — nawet korespondentem wojennym „Civil and Military Gazette" w Lahore.

Podróżuje wiele: Chiny, Japonja, Australja, Afryka, Ameryka.

Potem wraca do Anglji i wydaje tom za tomem — niespotykany to nigdzie wybuch natchnienia: wiersze, nowele, powieści, a wszystko bardzo nowe, świeże, męskie, pełne świetnych obserwacyj, humoru, stylistycznie mistrzowskie.

Kipling odkrywa dla Anglji Indje. On pierwszy daje plastyczny, barwny (choć niecałko wity i bardzo powierzchowny) obraz kraju.

Kipling niedarmo był synem malarza. Krajobraz Kiplinga to twórczość pełna, znakomita wizja artystyczna, natchniona robota konstruktora sztucznej rzeczywistości. Kipling personifikuje, animizuje pejzaż. Nawet zwierzęta „Księgi Dżungli" — ich dzieje — to próba stworzenia sztucznego widzenia, sztucznego rozumienia środowiska zwierzęcego.

Malarzem był Kipling niepospolitym — dość wspomnieć — tę noc w wąwozie Khybarskim z świecącą tylko jedną gwiazdą — albo opis pociągu, wiozącego żołnierzy, zaatakowanego przez cholerę (bijącą nagle jak sąd ostateczny z nagiego nieba).

Kipling nie wgląda głęboko. Tworzy raczej typy, niż charaktery.

Swietnie narysywani: angielski żołnierz i urzędnik w Indjach, wieśniak induski i dziecko angielskie, w Indjach urodzone. Studja Kiplinga o społeczeństwie induskiem — to płycizna.

Nie mówię już o tem, że patrzy Kipling na Indje z punktu widzenia imperjalisty — agitatora.

Indjami dla Kiplinga nie była nędza 300 miljonów, karne wyprawy, wyzysk, podatki, sprawa parjasów — nienawiść do Anglików — — lecz wyczarowana przez niego dżungla, deszcze — nagłe, ogromne; jakaś stacja na równinach, zagubiona wśród żaru; misterjum majaczącego za wzgórzami muru Himalajów.

Jako poeta był Kipling prekursorem nowej powojennej poezji („Buty", „Kable Podmorskie"). Wspaniały rytm, pochwała techniki, wiersze o żołnierzach w marszu, ballady przechodzące niespodziewanie w groteski (jak n. p. śpiew małp: że do przodków małp do lasu przyszli źli farmerzy i zmusili małpy do pracy — i te dawne małpy to są właśnie ludzie). Znakomite to wiersze: „Mandalay", „Ford O'Kabul River".

Kipling był sztandarowym człowiekiem imperjalizmu brytyjskiego, piewcą dobrobytu, świętości posiadania, angielskiego idealizmu, prawa kształtowania losów świata przez jego nadludzi — urzędników brytyjskich. On to rozpętał wielką orgję egoizmu narodowego, on to bił w „wielki bęben" z całej siły, on przyczynił się do wzrostu „wielkiej bańki mydlanej".

A gdy wiara w nieomylność, sprawiedliwość, męstwo brytyjskie okazała się złudzeniem, zniżył się Kipling do haniebnej dla wielkiego pisarza roboty; podczas wojny boerskiej, jako korespondent wojenny, świadomie fałszował prawdę, robił najohydniejszą „Greul - Propagandę". Jakże to nie pasuje do autora „Takich sobie bajeczek". Po powrocie do Anglji stał się krańcowym torysem, a większość jego twórczości znalazła się na poziomie zwykłego pamfleciarstwa.

Wielki artysta niezawsze jest człowiekiem prawdziwie wyzwolonym.

W przyszłości będziemy czytali Kiplinga w wyjątkach.

Bo szkodaby było przejść do porządku dziennego nad twórczością jednego z najwybitniejszych proazików współczesnych.

KOLUMNA VOLTÓW.

Józef Sroga.

Można powiedzieć: profil.

(Z prasy poetyckiej 1932.)

Długo noc przykuwała mięśnie dzwoniące
chlebnem jutrem
i tuliła krwawy gniew — gniew cieknący
płucami

tymczasem
północ strzeliła:

pan dyrektor
zaklął fabrykę w kajdanach
dodnia dym
wezbrane głodem Jutro
rano: w bunt rozsypaną spłonkę
zebrał robotnik do pustej blaszanki
i
walnął kułakiem w stalowy wiatr

wtem
z flanki
pękł dzień kolorowy granat:
kamienice ostro grożąc niebu raniły powietrze
z bram trysnął huk jak z otwartej rany

krótko
przed fabryką
ksztusił się wyjący w tłumie
oswojony wilk:
L. K. M.

wieczorem później
słuchał pan dyrekror
jedwabnej melodji banknotów

na ulicy

z czyjejś choro krwawiącej piersi
frunął czerwony jastrząb
krzyk
który
darł ostrym dzióbem
noc i Boga.

W bieżącym numerze występuje na łamach naszego pisma w charakterze gości krakowska grupa młodych litaratów „Volty".

Władysław M. Bodnicki.

Chopina nocturn Des-dur op. 27.

Nie radować mi się już wiosną
kociemi łapkami wiklin.
Śpiewa mi w piersiach i w sercu tańczy wieczność.
Wieczność? ?
Kosztowny instrument — człowiek,
w futerał trumny . . . .
Padną może ukochane kwiaty — biały śnieg . .
Ucałują może gwiazdy, conoc pieszczące . . .
Pożegnają topole . . . . zawołają za mną:
dowidzenia!

Nie wrócę — już nie powrócę.
Chyba . . . . w czyichś wspomnieniach ilekroć
wieczór mgłami się zanieli.
Kiedy niebo w błękitnych stoi płomieniach,
oskarżam Tego, który stworzył życie,
że stworzył takie Zło,
że smutkiem oddycha dzień każdy,
że z piołunnem sercem
z oczami bledszemi codzień
w grób . . . . .

Zostawiam ametysty tęsknot,
rubiny pragnień, topazy poznania
w dźwiękach czarnego gołębia.
Więcej?
Więcej — nic nie będzie!
Pożegnają mnie topole, zawołają: dowidzenia
Pożegnają mnie wierzby, wyszeptają: wróć . . .
Odchodzę bez powrotu . . . . .

KOLUMNA WEKTORÓW.

Tadeusz Zelenay.

Chłopcy zbierający liście.

Chłopcy, zbierający liście w parkach do worków,
chłopcy, zbierający liście więdnące.
Strzęp życia z całości wydarty,
na który patrzy blade, zdziwione słońce.

Napełniają parciane worki,
kładą złoto do worków, jak w bajce,
którą mówić trzeba szeptem i wieczorem
drzewom szepczącym: Żegnajcie.

Tak zbierają chłopcy zwiędłe liście,
Jak pamięć, co zbiera słowa,
Jak dzień, który zbiera nawał zdarzeń,
Jak wieczór, co zbiera godziny
Mierzone sekundami kroków,
Kwadransami tramwajowych przystanków
I wiecznością samotnej myśli.

A jesień idzie tak:

w ulicach sprzedają kolorowe dalje,
ze stacji odchodzą pociągi w pól wieczór,
a gdzieś pachnie zagajnik słodyczą zeschniętych malin,
a gdzieś księżyc srebrzystość gwiazd przeczuł.

A jesień idzie tak:

deszcz kolory złociste ze starych drzew spłukał,
deszcz się przeszedł po zgasłych, uwierzbionych drogach.
Pod drzewami się chłopcy z workami włóczą.
Zbierają złote liście. Poco? Dla kogo?

Jerzy K. Weintraub.

Próba powrotu.

W dawnem mieście najeżonem kolcami wież
w Oberży pod Rezedą, w najczerwieńszej z altan
pulchna Gretchen śpiewała rozdzwonionym altem
a poeta przy winie pisał dziwny wiersz.

Wtedy zgodnie dzwoniły gotyckie zegary
płynące w srebrnych czółnoch bezmiaromi nocy.
A flety rozedrgane w najpłynniejszej arji
błogosławił sam Wolfgang Amadeus Mozart.

A dzisioj, przyjacielu, próżno rekwizyty
chcemy wskrzeszać, przetapiać w śpiewną rzeczywistość.
Próżno gwiazd poszukiwoć w tamte niebo wbitych,
w zapachach przewiązanych wstążeczkami listków.

Niepokój nie pozwola spojrzeć się za siebie.
W siebie nam nie pozwala spojrzeć srebrny strach.
A teraz płynie ciężko po zimowem niebie
księżyc, jak zagubiona i somotna kra.

Widzisz teraz jak ciężko labiryntem dni
uwikłany w samotność pośród fikcji płynąć.
Dlotego to zamknięcie i dlatego łzy
i dlatego powroty w czas, który odpłynął.

Oto wracasz w klasyczną regularność strof,
patrzysz w zmierzchy sielanek w średniowiecznem mieście:
— w dali arje Mozarta w pionissimach mrą
a w czerwonych altanach milkną stare pieśni —

Już jestem, przyjacielu, w rzeczywistym styczniu.
Wszystko już jest konkretne. Oto jesteś Ty.
Odpłynęła, jak stary statek — romontyczność.

Płyniemy w inną stronę. W przyszłość. W wzbierające dni.

Piotr Korzuch.

Dzień głodnych

(wstęp do poematu).

nie będzie ciskał
byle dziennikarz
tych słów zużytych
startych monet
nie będzie ich pieścił ustami czcionek
nie będzie głaskał ich twarzy
petitem

szare czcionki krwią się zachlusną
jak oczy
krwotokiem czerwonym jak nędza kolumny szare pobroczą

głodni — głód — bezrobocie:
codziennie śmieszne banały
słowa płynące gładko
cyfry codziennych statystyk
dęba staniecie —
jak konie —
w szarży broniące sklepów

i w czerń waszą zblakłą
ponownie
czerwony
wystrzeli
instynkt — — — !!

Aleksander Meesing.

Wieczór zagraniczny.

— Są nagłe spotkania dwojga ludzi bez słów.
Może to banalnie brzmi,
może ktoś inny będzie drwić,
uśmiechnie się — powie — dzieci.
Ale tyś wtedy tylko rzekła — my.
A potem już nic. Bez słów był ten wieczór.

Zagraniczny, pluszowy wieczór, beztroski —
i gwiazdy — jak rekoszety marzeń odbitych w jeziorze.
Wszystko było inne. Wszystko było proste,
jak to — co się stać nie może.
Wybacz ten frazes — zapomniany krajobroz — nędzny rym do „jeziorze"
i nędzny wiersz.

Szeleścił pod stopami na wybrzeżu żwir —
i nas połączyło bardzo zwykłe słowo — cicho powiedziane „WIR".

Wiem, że nie zrozumiesz. Wiem, że w obcej mowie.
Wiem, że nie zrozumiesz sensu słów, prowadzących do nikąd.
Ten wiersz jest tylko dla mnie—dla mnie, bym pamiętał
tamten wieczór i ciebie —
Eriko.

Wł. M. Bodnicki (Volty)

Zdublowane życie.

Urywek z dłuższej noweli pod powyższym tytułem.

Gdyby Rudolf mógł zastanawiać się, doszedłby do tego, że zaczęło się tak jak sześć miesięcy temu.

Ciemno, ciemno, coraz ciemniej. Nagle — fanfary światła! Oślepiający blask kolorowych reflektorów, oranżowych, zielonych, siarczanych... Od smagania światła bolą oczy. Jupitery zwolna tracą gorączkę blasku i już w całkiem matowem świetle, zjawia się ta ze słomianemi włosami, którą nazwał Nr. 2.

Zjawiła się jak zaproszenie do szczęścia. Jakby zrozumiała że malowanie twarzy nie powinno być używane w pospolitym celu poprawiania natury i współzawodniczenia z młodością, miała twarz umalowaną lecz to nie było ukryte.

Zdaje się nie patrzeć a śledzi wszystko. Posuwa się naprzód, ślizga, unosząc lekko w dwóch palcach fałdy obejmującej jej ciało sukni ze srebrnej mory, tworzącej podwójny wachlarz. Jego, malarza przywykłego do niezwykłości i niespodzianek, niełatwo mogło coś zadziwić a przecież taniec jej zachwycił go a zdziwiła sztuczna podniosłość w wodzeniu oczyma, noszeniu głowy, w chodzie.

Kiedy patrzał jak się toczy z ciężarem haftowanych spódnic, odczuł upojenie pędzla, którymby mógł to wyrazić.

Ale niedługo to trwało i już przechodził w stan apatji i pozostał w stanie negatywnej czystości, trwoniąc swój czas tak jak s ę gubi pończochy.

Był bez oczu a — widział — bez uszu a — słyszał —

Słyszał rzęsisty deszcz uznania i widział białe plamy oklasków...

Czuł jak się zbliżała ku niemu jaskółczym lotem. I znowu odzyskał wzrok wtedy, gdy wąskie sztylety warg zbliżyły się ku jego ustom. Odczuł w owej chwili lęk przed pocałunkiem jak przed ciosem. Coś się im zejść broni, mimo, że od niego do niej niema ni dłoni. Rudolf czuje w sobie spólnotę z tem wszystkiem co koło niego przemija, czuje drżenie jej ciała lecz sam nie płonie. Ach ta noc, ta noc wspólna nie do przebycia. Wlecze się minutami kutemi w granicie a pomiędzy nimi leży straszne milczenie

Doplero teraz to spostrzegł: natężył słuch — niema słów!

Porwał go przestrach. Myśli płyną jak woda, żeby je zrozumieć, trzebaby wejść w siebie.

Przeszkadza przerażenie.

A tymczasem co się dzieje z tą kobietą Nr. 2?

Maleje, wciąż maleje. Już jej jest pół, ćwierć, maleje ... jest tyla co jego ręka.

Wtedy parabolicznym skokiem dostaje się na wiszący poziomo w powietrzu drut cienki jak włosek i po nim skacze. Kolejno przybiera twarze kobiet, które miał w życiu, a każda wykrzywia mu się pokracznie.

Poruszył się niespokojnie i spostrzegł, że i łóżko zawierało cierpienie. O! jakżeż uściskałby teraz poranek a tu noc tłucze się od ściany do sciany i wybucha śmiechem.

Nr 2 zwołuje z setkę liliputek, obchodzą go ze wszystkich stron, atakują, wpychają do ust poczwarne nogi a on czuje między zębami smak śmierci. Za-

St. Pagaczewski (Volty)

WAKACJE.

Fotomontaż.

1.

Gra! 15:30. łuk skoku rakiety zawadził o słońce. zamiast piłki przeleciało przez siatkę i rozbiło się na drzazgi o struny drugiej rakiety.

skok białej postaci. wyprężenie całego ciała w dążeniu w zwvż. piłka leci przez gorący błękit — znaczy się na żółtym piasku ciemną smugą.

(błękit, zieleń, słońce, biała piłka, biali ludzie)

Gra! wygięcie ciała w rzucie w lewo. piłka wraca napowrót. odbita złotym połyskiem napiętych strun, znów leci nad samą siatką. koniec. białe postacie zdejmują z opalonych twarzy zielone okulary. kobiety czują w sobie dziwną, gorącą senność. lekki wiew rzeźbi im uda i piersi.

2.

ludzie mają ubrania białe a skórę czekoladową. wyłuskali się z ubrań i leżą na pościeli z zielonych, pachnących traw, mając w oczach zamknięte ciepło słońca a w uszach pluskot i chlupot rzeki, toczącej się po kamieniach.

leniwie ruszają się mięśnie pod czekoladową skórą. Linja spoczywających ramion przechodzi w biodra, uda i silne związane stopy. kościół płynie przez błękit południowem dzwonieniem.

Topi się spiż dzwonów i kapie błyszczącemi kroplami na ziemię. woda płynie.

3.

w błękicie wody i powietrza stoi kobieta. bierze w palce płynne srebro i naciera swe brzoskwiniowe uda, ruchem powolnym i pieszczotliwym.

oddaje się słońcu i wodzie.

4.

las szumi. nawet gdy niema wiatru, w konarach drzew drga jakiś nieustanny poszum. zioła stale pachną, nagrzane słońcem. sierpień zdyszany żarem w miedzy się położył i spogląda w spokojne oczy stawów. uśmiechem Boga jest obłok zwolna spadający na szczyty sosen o pomarańczowej korze.

słońce cieknie przez liście i szpilki. każda słoneczna plama na ziemi to cały świat.

jest dziwne zespolenie się z tem co otacza. wychylenie się poza codzienność. rzut oka w nieznane.

a może to tylko wspomnienie zapachu storczyków i pocałunku ciepłych i wilgotnych warg?

5.

niebo spadło na ziemię i zamieniło się w błoto. deszcz. monotonja prowincji łka saksofonem. po szarej płachcie rynku wlecze nogami listonosz.

i tak od kilku dni.

w takt szmeru deszczowego tańczą sennie ludzie. aż w pewnej chwili ktoś widzi: drzewo stojące na szczycie góry wbiło się w chmury i zatrzymało je, nagiąwszy się boleśnie a z za chmur wypłynął znowu błękit. ktoś zatrzymał patefon. jęknął po raz ostatni opuszczony saksofon.

wieczór. ziemia wzbija się w niebo spokojnemi dymami kominów.

6.

nie machajcie tak chusteczkami za nami bo maszynista się rozpłacze i zaleje łzami palenisko.

koła pociągu odepchną za siebie to co było. krótki gwizd lokomotowy będzie requiem dla wakacyj.

pojedziemy przez inne okolice, ku wielkiemu, czarnemu miastu.

na skręcie pożegna nas niebieska rzeka.

— (kobieta naciera uda płynnem srebrem wody). —

na skręcie zaszumi nam las.

— (storczyki już dawno zwiędły, na miejscu słonecznych plam, zrodziły się rydze). —

na skręcie pożegna nas obłok.

— (obłoki białe, pióropusze letniego dnia). —

na skręcie zapłacze saksofon tęsknym refrenem. i nikt go nie zatrzyma. będzie łkał aż zakończy nagłym zgrzytem rozdzieranej igłą płyty w nagłym przechybie pociągu.

zakręt!

---

drgała w jego wnętrznościach chęć wymiotów i poczuł, że leci w przepaść, z której powoli wypływa nad wierzchołki jakichś drzew . . . .

— — — — — — —

Kościan, poniedziałek

Nie mogę pisać taka jestem zdenerwowana. Rudek dorwał się pieniędzy, sprzedał obraz i wypełnił znów ulubione przez niego, nawołanie Baudelair'a: „Aby nie być niewolnikami nad którymi znęca się czas, upijajcie się bez ustanku". Skutek ten, że dziś odwieziono go do naszego sanatorjum. Przechodzi delirium tremens.

Stefanja Łobaczewska

ALBAN BERG.

Gdy przed paru tygodniami na wieść o śmierci kompozytora wiedeńskiego Albana Berga cały muzyczny świat europejski okrył się załobą, w Polsce przeszła ta wiadomość prawie bez echa.

Alban Berg bezkompromisowy wyznawca kierunku najskrajniej lewicowego w muzyce współczesnej, uczeń Arnolda Schoenberga, tworzył wyłącznie w technice kompozycji tzw. dwunastotonowej, która we współczesnym świecie muzycznym nie cieszy się jeszcze zbytnią popularnością. Technika ta, zapoczątkowana przez Schoenberga, jest eksperymentem, przedsięwziętym w celu przywrócenia muzyce ścisłej konstrukcji formalnej, która od czasów romantyzmu za ofiarowana została na rzecz programu pozamuzycznego. Jest ona cowięcej jednym z najradykalniejszych i najbardziej ryzykownych eksperymentów w tym kierunku, jakie zna wogóle historja muzyki. Idea, po raz pierwszy zresztą wprowadzona przez Schoenberga czysto intuicyjnie wyboru spośród dźwięków skali dwunastotonowej pewnego ich układu i uczynienia zeń podstawy wszelkich poczynań melodycznych i harmonicznych danego utworu, była bezprzecznie fascynująca jako założenie formalne: przedewszystkiem dawała dźwiękom absolutną swobodę ruchu, pozwalała im wchodzić ze sobą we wszelkie wzajemne związki w szeregach melodycznych i we współbrzmieniach w ramach układu, raz ustalonego dla danego utworu, po drugie gwarantowała większą jednolitość i spoistość formalną, niż to było możliwe w każdej innej technice atonalnej. Równocześnie jednak kryła w sobie technika dwunastotonowa od innej strony i duże niebezpieczeństwo. Przedewszystkiem niebezpieczeństwo schematyzacji występujące zawsze, ilekroć jakaś twórczość opiera się na pewnych zgóry powziętych założeniach formalnych. Gdy raz sprecyzowane zostały podstawy techniki dwunastotonowej, każdy mógł ją sobie przyswoić i znaleść w niej rodzaj przepisu, który mógł nawet, jeżeli idzie o stronę formalną, zastąpić mu własny twórczy trud w tym kierunku. Innemi słowy, łatwiej, niż w zakresie każdego innego kierunku, technika mogła tu być postawiona na miejsce talentu. Drugiem niebezpieczeństwem było niebezpieczeństwo zbytniego uabstrakcyjnienia muzyki. Nie liczono się tu z dźwiękiem jako z czemś żywem i bezpośrednio działającem na zmysły, dźwięk istniał tu tylko jako element konstrukcji. Tego ostatniego niebezpieczeństwa nie zdołał nawet zresztą uniknąć sam Schoenberg. Jego utwory są tak doszczętnie obrane z momentu wrażeniowego, że do ich podkładu uczuciowego dochodzi się dopiero po rozwiązaniu niezmiernie skomplikowanych problemów myślenia dźwiękowego. A że — jak wiadomo — niekażdy słuchacz chce i umie sobie zadać trud tego myślenia, pozostała twórczość Schoenberga i większości z pośród jego zwolenników po dziś dzień terenem porozumienia tylko dla wybranych.

I już zdawało się, że zdobycze techniki dwunastotonowej zostaną zahamowane w jakimś martwym punkcie jeszcze zanim zdołały przeniknąć do szerszego ogółu twórców, gdy na horyzoncie jej zajaśniał nowy talent o pierwszorzędnej wielkości: talent Albana Berga. Po raz pierwszy podszedł tu do tego eksperymentu człowiek posiadający przy tęsknocie za silną konstrukcją w sztuce muzycznej, żywą wyobraźnię muzyczną i zrozumienie dla zmysłowych walorów dźwięku. Człowiek, który nie chciał zamykać się w świecie abstrakcji, ale zapragnął wyrazić swój przebogaty świat uczuciowy i swoje koncepcje formalne w sposób bardziej dostępny dla ogółu. I co więcej

człowiek, który potrafił znaleźć potemu odpowiednie środki. Jak się to stało, że dramat muzyczny Berga p t. Wozzek odbył w stosunkowo krótkim czasie triumfalny pochód poprzez wszystkie sceny europejskie, że przemówił z taką siłą do wszystkich bez wyjątku, zarówno do muzyków o najbardziej skrajnych światopoglądach jak i do laików, to pozostanie tajemnicą twórczego talentu Albana Berga. Być może, że dużą rolę odegrało tu połączenie muzyki z tekstem, które Berg nie zawahał się wprowadzić wbrew ideologji współczesnej, a który pomaga słuchaczowi niedostatecznie zorjentowanemu przebrnąć przez trudności języka muzycznego. Może też odmienne traktowanie barw orkiestralnych silniejsze zaakcentowanie elementu harmonicznego. Pewnem jest, że przy całej ścisłości konstrukcji muzyka ta działa niezwykle bezpośrednio, że wzrusza porywa i przekonywa, i że przekonała nawet i tam, gdzie, jak w dziełach symfonicznych i kameralnych Berga, pozbawiona została owego podkładu tekstowego. Że potrafiła pokazać całemu światu, że technika dwunastotonowa może się stać wyrazem uczuciowej treści w muzyce tak samo, jak każda inna technika.

Muzyka Albana Berga dała zresztą światu współczesnemu i wartości o wiele bardziej zasadnicze, które wychodzą daleko poza ramy tego czy innego kierunku, tej czy innej techniki. Ona równocześnie przekonała Europę, że muzyka współczesna żyje, że nie umarła tak jak to głoszą jej wrogowie, że atonalizm, którego Berg był jednym z najbardziej bezkompromisowych przedstawicieli, stanowi jej kulturalną linję rozwojową w przyszłości. Pośród talentów, które swemi czynami eksperymentatorskiemi znaczą drogę w muzyce współczesnej, przejdzie Alban Berg niechybnie do historji jako jeden z tych, którzy wierzyli w nieśmiertelne wartości współczesnej sztuki muzycznej i który wartości te potrafił przekuć w kształt realny i trwały

Stefanja Łobaczewska.

Jakób Sawczak. (Volty)

Powódź.

Wyjątek z powieści p.t. „Spłoszone ptaki":

Gwałtowny łomot rąk w ramę okienną wyrwał Styłę z pijackiego snu.

— Co tam! — wychrypnął. Ale nie dosłyszał odpowiedzi, bo oto ponad mokre ramiona sąsiada dojrzał bielejący do świtu — bezkresny całun wody, w którym czerniły się sylwetki zagród, drzew i kępy krzaków. Styła ogarnął się gorączkowo. Ściągnął żonę z łóżka za włosy. Kopnął kota łaszącego mu się do nóg. Stanął na progu domostwa. W uszy jego uderzył grzmot wody prującej rozdartą groblę. Gdzie spojrzał wzdłuż i wszerz ciągnął się bezmiar wody, bełtającej się o fundament jego domu i bryzgającej na ściany.

— Mondele biere! — brnął ku niemu wodą zasromany chłop mokry po pas.

Styła wybystrzył wzrok i na potwierdzenie tych słów poprzez zasieki deszczu dojrzał, iż obwożą się w białą topiel czerniejące masywy kopisk zboża. Raptownie skierował wzrok na prawo. Na swych stajaniach nie ujrzał ani mendli, ani łanów pszenicznych, zagonów kartoflanych, jeno gdzie spojrzeć tafla wody . . .

— Przerwało grobel . . . — bełkotał trzęsący się z zimna chłopina — na zawsiu ludzie się topią. Biere i chałpy. Dejcie, Styła, kunie! Trza ratować!

Ale Styła słów jego nie dosłyszał, bo klaskał już bosemi nogami w wodzie. Pobiegł na koniec sadu. Woda sięgała mu powyżej kolan. Wychylił się przez płot i wbił wzrok na kraniec swego gruntu, gdzie w niemrawym świcie ponad wodą szarzał brudną smugą dworski płot. Dwoiło mu się w oczach rozkisłych snem. Mrugał więc powiekami i przecierał je pięścią. Zdało mu się, że przy płocie owym balansuje zator snopków zboża. Wdrapał się jednym susem na ogrodzenie i zwiózł się na drugą stronę. Brnął w pola. Zapadał do pachwin w wodę, po kostki w błoto. Po powierzchni wirowały kartofle, nurzały się w spiralnym leju i z bulkotem wyskakiwały opodal. Porał się z kalną wodą i kroczył dalej, co raz dalej. Właśnie wyczuł pod stopami swój zamulony owies, kiedy ruszył silny prąd wody. Woda rosła — rosła. W mgnieniu oka sięgała Style po pas. Styła strwożył się niepomału. Rozparł się w nogach.

— Iści ze zyto. — Gałki oczu latały mu rozpaczliwie. Lodowaty ziąb zmroził mu całe ciało. Dzwonił zębami. Ręce obwisły mu w wodę jak kłody. Stał jednak uparcie i szacował wzrokiem ile też to pławi się tego marasu.

Woda muskała mu już po brodzie, kiedy odwrócił się i szamotliwie począł pruć wodę w stronę domu. Po drodze zbierał chybocące w kręgach deski i wlókł je za sobą Przerzucił je potem do swego ogrodu.

Kiedy wykaraskał się z rozwiezionych opłotków, ujrzał swoją żonę.

Stylina w podkasanych spódnicach brodziła po podwórku i znosiła do izby kwiczące prosięta.

— Gdzie wy?! — zdybał wnuka i pastucha Jędrka, wychodzących z za domu.

— Do stodoły.

— Po co?

— Stóg podmyło.

— Podrazić osęki i hajda. — Uczynił despotyczny ruch ręką w stronę dworu.

Zrozumieli.

— Musiało się mondeli naharnasić na dworski płot — mówił Jędrek, podnosząc Michała po osęki, wiszące pod przyciesią. Zerknął z ukosa w stronę ostatnich stajań.

— Nie inacy, ino tak.

— Zaś bedzie Krzyz Pański, no, no.

Michał nic nie odpowiedział. Odruchowo przetarł mokrą twarz mokrym rękawem

i myślał. Może myślał o poprzedniej powodzi, trzy lata wstecz, kiedy woda była po kolana i wujek Bartek wynosił z niej mendle na plecach, a on, Michał, człapał za nim z psem Cyganem. A potem woda wezbrała i jego Bartek zaniósł do domu na „baranach", a Cygan gdzieś utonął. A może myślał teraz o Bartku, gdzieby się podział? i czy powróci i kupi mu organki jak zwykle. A zresztą kto wie jakie myśli powstawały w zatarasowanym mózgu Michała.

Widniało. Skośny deszcz i skrzył się igliwiem. Poprzez rozgardjasz wody, niby zsypywanie z fur szutru, dał się słyszeć metaliczny głos Styły.

Głos Styły to uraz psychiczny Michała. Zatrząsł się w sobie i ręce zmartwiały mu na drzewcu osęki. Wybałuszył oczy w jakiś martwy punkt przed sobą i nie wiedział co począć. Dopiero Jędrek pociągnął go za sobą.

— Stary woło! — huknął mu nad uchem.

Oprzytomniał.

Styła kończył właśnie zbijanie tratwy i zpodełba spozierał w stronę stodoły.

— Drągi w gorś, darmozjady! — Wyprostował grzbiet. Ostrym wzrokiem przynaglał ich kroki.

Zaciął potem siekierę w bierwionio śpichlerza i podjął się pod jeden koniec tratwy. Jędrek i Michał dźwignęli drugi, aby przenieść poza płot.

— Woda w izbie! — podbiegła z pomocą Stylina i dreptała to z tej to z owej strony. Głos jej nabrzmiały był frasunkiem.

Styła obrzucił ją zjadliwem spojrzeniem, spinając się na druciane opłocenie. Oburącz szarpnął ku sobie tratwę. Upadła na wodę ciężko napłask ze zgiełkliwym trzaskiem.

Odepchneli się od płotu. Zapieniła się woda. Zabulgotała. Tratwa poszła ołowianym posuwem. Kolebała się statecznie tam i sam, to znowu szła posuwiście. Swobodnie.

Woda kaliła się jak odwar gliny Deszcz zasiekał im w oczy i brzęczał na wodzie niczem rojące się pszczoły.

Styła dreptał po deskach to tu, to tam i zamaszyście odbijał tratwę coraz chyżej. To znowu wyginał się wpałąk, nie mogąc wyszarpać drąga z lepiszcza zagonów. Woda mlaskała mu pod stopami. Michał i Jędrek ustępowali mu miejsca, dziobąc mizernie żerdkami w wodę. Pot i deszcz sążniście spływały im po twarzy.

Gdy Styła podniósł głowe, aby zmierzyć oczyma odległość od dworskich płotów, ujrzał tuż przed sobą kotłującą się kipiel poprzecznego prądu wody.

— He-e e-ej! Rup! - wrzasnął na chłopców i w rozsierdzeniu dźgnął drągiem w wodę. Ale pochylił się i przysiadł na piętach. Drąg głęboko uwięzgnął w mule Żyły nabrzmiały mu na skroniach. Wargi posiniały w ogromie natężenia. Wte razy rosochate jego ręce zaszuszczały chrobotnie po sękach wysuwającego się drąga i prąd wykręcił tratwę. Miotnął nią w ubocze.

Michał zakołysał się pokracznie. Instyktownie zakrył twarz oburącz i runął w wodę z krzykiem Obok runął Jędrek.

Tratwa tanecznie okrążyła spiralną drogę i wsunęła się napowrót w to samo miejsce.

Michał dławił się wodą. Jędrek trzepotał rozpaczliwie rękoma i krzyczał.

— Niedojdy! — warknął Styła. Przyklęknął, wyciągnął rękę, ułapił Michała za kark i cisnął jak koźlę. Jędrek tymczasem gramolił się ślamazarnie z drugiego końca.

Styła wyważył potem drąg z mułu. Przyciągnął nim żerdzie chybocące obok. Rozdął nozdrza. Pchnął drągiem siarczyście w wodę i przedarł się z hukiem przez prąd.

Tratwa poszła już teraz gładko w miarowem kolebaniu, i po chwili wkroiła się z szumem w skorupę żytniej mierzwy, zaścielającej wodę przy dworskim płocie. Do sztachet dobić nie mogli. Czem dalej, piętrzył się większy chaos snopków.

Styła wyprostował się. Wsparł ręce na biodrach.

Wzmagała się woda, dosięgała górnych przęseł płotu. W ogrodzie wśród drzew wiśniowych i jabłoni bieliły się odęte wodą świnie i króliki.

Walt Whitman.

Listki trawy.

PIEŚŃ O SOBIE.

Śpiewam samego siebie, odosobnioną tylko osobowość,
A jednak rzucam słowo powszechne, w masy,
Śpiewam wiedzę o życiu od początku do końca.
Głowa sama, sam rozum nie jest godny Muzy, twierdzę że życie całe jest jej dopiero godne.

Ja śpiewam o kobiecości na równi z męstwem,
O życiu niepohamowanem w żądzy, działaniu i potędze
Pełnem radości, ciśniętem w ruch przez boskie prawa' aby móc działać najswobodniej'
Śpiewam Nowego Człowieka!

ZIEMIA, MÓJ WIZERUNEK.

Ziemio, moje odbicie,
Chociaż wydajesz się tak beznamiętna, tak rozległa i tak kulista,
Teraz przeczuwam, że to nie jest wszystko,
Teraz przeczuwam, że jest w tobie coś z wrażliwej potęgi wybuchu,
Bowiem uwielbiam siłacza, a on mnie miłuje
A jednak jest wemnie coś z wrażliwej potęgi wybuchu.
Nie odważę się tego określić, ani wyśpiewać.

POECI, KTÓRZY PRZYJDZIECIE.

Poeci, którzy przyjdziecie! mówcy, śpiewacy, muzycy nadchodzący!
Dzień dzisiejszy nie odgadnie mnie i nie odpowie, kto jestem,
Lecz wy, nowe pokolenie, czyste, potężne, większe, niż kiedykolwiek widziano,
Wstańcie! Wy bowiem musicie mnie odgadnąć.
Piszę niewiele słów zwiastujących przyjście.
Ja przeczuwam chwilę, ażeby tylko błąkać się i biec z tyłu w ciemnościach.
Jestem człowiekiem, długim włóczęgą, bez spokojnego wytchnienia, który śle ku wam wzrok i znużony odchodzi.
Wy troszcie się o ocenę i określenie
Pierwszego, który was oczekiwał.

Przekład narcyzowi poświęca
A. Kański.

— Wickowom chołpe niesie! — krzyknął Jędrek.

W tym momencie opodalny kwik i skowyt uderzył im w uszy. Odwrócili się.

Chuderlawa kurna chałupina zataczała kręgi na wartkich prądach, przechylała się to jednym to drugiem bokiem w wodę, aż raptem leniwem zakoleniem wkrążyła się na gwałtowny galop fal między wyłom grobli i zginęła w wiklinach.

— Swarne bydło mioł Wicek . . . Skoda . . . . — grzechotał pod wąsem i jął wciągać na pokład cotęższe snopy, nabrzękłe wodą.

Chwilami ucichał deszcz i wówczas na pacierz bluznął oślepiający blask słońca. Chmury zniżały się potem, ciemniało i deszcz narowił się w dwójnasób.

— Piykne żniwa. — Przytrzymywał w rękach snopki, aby ociekły nieco i podawał chłopakom. — Nima co. — Kłóska owisały ciężko, jak z ołowiu. Lały się z nich sowite strugi brudnej wody. Niebawem czworobok snopów na tratwie sięgał już Style po ramiona. Styła chciał jeszcze cośkolwiek dorzucić na wierzch, ale tratwa coraz wyraźniej poczynała się nurzać. Spojrzał więc z żalem na zboże tarzające się wokół w wodzie i ruszył w kierunku stodoły. Tratwa szła z prądem poważnie i twardo, ugnieciona ciężarem.

Styła obalił ciało o kobuchy snopów i obierał robactwo ze zgrabiałych rąk. Ziąb przejmował go doimentu. Zmęczenie chodziło mu po kościach. Przed oczyma miał oto dom. Woda dobierała się już do okien. Wyważyła drzwi stodoły. Obok stodoły obwoził się w wodę stóg siana.

Styła zawrzał gniewem. Zacisnął palce około drąga i począł nim zajadle uderzać w dno.

Tratwa raz w raz nabierała pędu. Wpadała z rwetesem w poprzeczne prądy i znowu z szumem, posuwiście mknęła gładką falą.

Woda warczała pod uderzeniami drąga i bryzgała Style w twarz.

Styła minął swą zagrodę i skierował na pastwiskowy pagórek. Przerzucił tam żyto.

Hołuj Tadeusz **„Liczby"**

8,600.000.

Cień czaił się po kątach, zmrok siniał
w gęstą ciemność —
we franciszkańskiej celi zakwita czyjaś twarz;
szeptami wieczór tętni — modlitwą płonie
klasztor,
ustami Jana Piotra: . . . ojcze . . nasz .

O słaby ojcze Janie, — tak serce twoje zlękał
ten chrystusowy pacierz i ten płaczący szept?
— czy on już tak nie koi — i nie brzmi tak
jak spowiedź
twojego brata Paula z Mirauzet!?

Paul wczoraj przysłał listem te słowa co cię
trwożą,
co ojczenasz plątają ze słonym smakiem krwi
i w ciszy srebrnej, drżącej krzyżują krzyżem
bożym
i w oczach twoich łzami lśnią.

. . . .

Paul pisze
„Ciemną nocą piszę do ciebie — Piotrze —
ciemną nocą dojrzewam.
Na kim swą rozpacz oprę,
komu swój ciężar wyśpiewam?
Tyś białym krzyżem cichy — bracie,
i mocny serca pasterz.
Podaj mi serce twoje proste,
bratu, — kalece, — poecie.

. . . .

Co noc — miast snów — jawi się koło mnie
chrapliwy śmigieł warkot.
Ziemia zakwita ogniem,
hukiem pocisków armatnich.
Ohydne słowa granatów krwią palą
ręce. Nie mogę ich oddalić.
Męki nie mogę odżegnać!

Wyholował potem przed domem. W sieni wpadł po kolana do wody.

— Wikta! Wikta! Każeś ty, Wikta?!

Ale nikt mu nie odpowiadał, tylko woda z pluskiem wwiercała się szparami ścian do izb.

Szarpnął drzwiami i zajrzał do izby Na łóżkach i stole piętrzyły się skrzynki, słomianki, kosze i buty.

Zawarł z trudem. Wpadł do otwartej stajni. Krów nie było, tylko łańcuchy zwisały przez żłoby i nurzały się w wodzie. W mroku, nad chlewami, świeciły się rubinem oczy królicze.

Znagła przejął mu uszy ostry rozgardiasz kur. Porwał się raptownie za dom i zastał Teklę, przenoszącą utaplane kury na stryszek śpichlerza.

— Ka bydło?! —

— U Popielów.

Na wode spadała kurzawa deszczu. Woda grzmiała surowo i warczała, a grzmot ten i warkot łamał się trzaskliwie o ściany lasu.

Od wsi dolatywał ludzki rwetes i beczenie bydła. Gdzieś da-

. . . .
ciemną nocą piszę myślami Piotrze —
— nie lękasz się tych śmierci ?
— czy wiesz — co Bogu odrzec :
— osiem miljonow sześćset !
. . . .
Jakże znaleść spokój i ciszę — bracie Janie
gdy liczba ta paląca — gdy liczba ta płomieniem.
A syn mój — Piotrze — śpiewa wierszami
walki radość,
synowi memu — Piotrze — nienawiść w serce
kładą !

Osiem miljonów sześćset — on Tego nie zrozumie
Osiem miljonów sześćset — Mój mały Paul —
poeta
wierszami upojony w broczącą ranę runie
rozśmiane oczy zgasną w przeklętej, krwawej
trumnie.
Osiem miljonów sześćset tysięcy krwawych
zbrodni
i — matek czarne wieńce i kobiet blada rozpacz
i — głodu czarna śmiałość i — nędzy śliski
chodnik
i — w żywot własny Ziemio — w historję
zmierzchów popatrz !
. . . .
Synu — o jasnych oczach — synu o jasnem sercu,
synu o mocnych pięściach i, o płomiennym zrywie
niech tabunami zapałów w serce twoje się
wwierci
Osiem miljonów sześćset — niech w wiersze
twe napłynie
Chryste !
Paula poetę otul — Paula poetę uratuj
— Ta ciemna nocna cisza — idące to świtanie...
Chryste. Pieśni ci ścieżki prostują...
na — zmarłych — wstanie..

22. I. 1936.

leko w skośnym deszczu, kwiliły czajki.

Tratwa Styły ślizgała się znowu w stronę dworu.

Pęczniały chmury i dymiły coraz niżej. Woda rozdymała się. Buszowała kipielą fal.

Poziom wody podniósł się już o tyle, że jeno gdzie niegdzie sterczały ostrza sztachet, gdy docierał do dworskiego płotu stary Styła. Snopki żyta walęsały się już pośród drzew ogrodu. W wylocie, między stodołami, wirowały zwartem kołem, jak karuzela, odczepiały się pojedynczo i długim, ruchomym sznurem, ginęły za wyrwą grobli.

Zza dworu szedł grom i rumor wielki: o mury biły jak taran, pruły się i łamały fale.

Styła wyczuł żerdką płot w wodzie i wstrzymał tratwę. Obejrzał się bezradnie i rozpaczliwie.

— A to idzie czerniawa, no. — Chmury tańczyły i gnały przez niebiosa. Narenna ulewa poczęła grzechotać na wodzie.

Styła poruszył się niespokojnie. Wokół nie dojrzał nic, ino deszcz i deszcz.

— Gospodorzu — bąknął nieśmiało Jędrek — trza uciekać, nima co. Musiała się chmura oberwać — trzęsły mu się wargi.

Michał wciskał pod pachy przejęte wodą ręce. Drżał całem ciałem.

Wte razy wzdęła się woda i zarzuciła tratwę.

Krew napłynęła Style do twarzy Zacisnął wargi i oburącz dźgnął drągiem w plot, aby się odbić i odpłynąć. Ale zachwiał się jeno i upadł na kolana. Dał się słyszeć trzask wyłamywanych w wodzie sztachet i drąg wpakował się w wyłom. Wypuścił go jakoś z rąk nieopatrznie.

— Michoł żyrdź ! — postąpił ku niemu.

Michał rozłożył bezradnie ręce. Mrugnął trwożnie oczyma.

— Nima. Wziyno we wodę.

— Kie ? — Wyciągnął ku niemu szyję i założył na grzbiecie chropowate pięści.

— No, — zająknął się — jak nami ciskało.

— Gamoniu, psiakrew, — krzyknął rozsierdzony i kopnął go z całej mocy. Z całej siły, bo nie mógł zcierpieć nieszczęścia swego i żałości swej okrutnej.

Zawahał się Michał pokracznie nad tratwą i zarył się koziołkiem w wodę.

Styła łypnął gałkami oczu i szarpnął żerdź z rąk zalękłego Jędrka.

W ten moment odpływ podważył tratwę i gwałtownym susem poderwała ją w ogród. Prysnęły groty sztachet, wykręciła się bokiem tratwa i głucho ugodziła w pień jabłoni.

Styła wyciągnął ręce. Chciał się czegokolwiek uczepić. Nanic. Nagły przypływ fal miotał tratwę tam i sam, tłukł o drzewa. zahaczał. Fale wrzeszczały i zalewały pokład.

Styła i Jędrek nie mogli się dojrzeć w szumnym deszczu. Dreptali rozpaczliwie po deskach, obijali się o siebie. Styła kiął. Kląl siarczyście. To znowu, ryczał jak rozjuszone zwierzę. Skakał to tu, to tam przerażony. Przechylał się, omackiem szukał jakiegoś uchwytu.

Tratwa podrygała skocznie, wierciła się w miejscu, przeważała się aż grzmotnęła całym swym ciężarem o jakąś zaporę.

Namacał Styła drzewo. Wezbrała mu pierś radością. Wygramolił się w rozwidlenie konarów i rozparł rękoma.

— Kaś ty, Jędrek! — zawołał strzaskanym głosem.

— Haw! zakwilił na drzewie.

— Nima tam Michała? — Michoł!!!

Ale jeno wiatr trąbił i siał deszczem, jakby z rozdartych worów sypało się ziarno i słychać jeno było łomot fal bluzgających o pnie drzew . . .

Jakób Sawczak.

Piotr Korzuch.

Front obrony kultury.

(Artykuł dyskusyjny).

W grudniowym numerze 1936. zamieściliśmy uwagi G. Sochora o „Kryzysie kultury". Obecnie przysłał nam p. P. Korzuch artykuł, w którym ujmuje te kwestje ze swego punktu widzenia. Artykuł zamieszczamy jako dyskusyjny i oczekujemy dalszych wypowiedzi w tej sprawie.

Redakcja.

P. August Sochor w artykule p. t. **„Kryzys kultury"**, poddaje roztrząsaniom zagadnienie, absorbujące nietylko literatów i nietylko polskich. Obraz niszczenia wartości kulturalnych, zwężania i tak ciasnego kręgu ludzi, interesujących się do pewnego stopnia stanowiskiem człowieka w rezerwacie „sztuk pięknych", obraz wyrodnienia życia intelektualnego niepokoi tych wszystkich, którym drogie jest artystyczne dziedzictwo świata, tych, którzy tworzą i chcą swobodnie tworzyć nadal. Wystarczy wspomnieć o niedawnym (czerwiec 1935) paryskim **Kongresie Obrony Kultury**, który zgrupował pisarzy tak wielkich i zarazem tak bardzo między sobą się różniących jak Rolland, Huxley, Nexoe, Michaelis, Erenburg i t. d. i t. d. Wszystkich tych bezsprzecznie wielkich twórców złączyło jedno: głęboka troska o losy kultury, niezłomna wola ocalenia jej.

Postękiwać, mówić, że z kulturą jakoś niebardzo, że trapi ją ciężka choroba — to zamało. Należy postarać się o zrozumienie **przyczyn** istniejącego stanu rzeczy. Tylko zrozumienie tych przyczyn i, w uczciwej konsekwencji, bezpośrednia walka przeciwko nim, może zapoczątkować nową epokę wzrostu i rozkwitu.

Temu zadaniu niestety, mimo niewątpliwych najlepszych chęci nie sprostał p. Sochor Spróbujmy je zanalizować i w miarę możności pójść dalej.

Najważniejszą bodaj przyczyną tego, że w Polsce kultura usycha jest, zdaniem p. Sochora, brak wielkiej idei:

„Jedną z przyczyn tej ospałości i gnuśności, to brak wielkiej idei, którąby rozpalała, wzruszała masy".

A brak ten skolei spowodowany jest realizacją ideałów niepodległościowych.

Zasadnicze twierdzenia, że najwspanialsza, najbardziej żywotna sztuka powstaje w okresach wielkich zmagań, w epokach, które tworzą potężne ideje, słowem, że sztuka musi być przedewszystkiem rewolucyjna, pełna siły i rozmachu, by wogóle była — twierdzenie to jest słuszne. Zbyt znane są przykłady z dziejów literatury, by zachodziła potrzeba ponownego ich przytaczania. Ale czy w chwili obecnej niema w Polsce wielkiej idei, czy niema walki, która skupia wiele tysięcy ludzi, która tworzy literaturę wielkiego lotu? Jeżeli zechcemy na to pytanie odpowiedzieć na podstawie czytanych książek, odpowiemy (z małemi wyjątkami) przecząco. Ale przecież niezawsze wielkie ideje płyną swobodnym nurtem na powierzchni życia. Dzieje nas uczą, że właśnie w epokach wstecznictwa i oficjalnej reakcji fala walki wzbiera początkowo pod ziemią, by później dopiero rozlać się szerokiem, zwycięskiem łożyskiem na powierzchni. O tem, co się dzieje w podziemiach, jedna między innemi książka informuje: Mały Rocznik Statystyczny. Otóż w naszym kraju jest 17.000 więźniów politycznych. Czy ktokolwiek może sobie wyobrazić, że taka kilkunastotysięczna armja, której wiek waha się od 15—60 lat jest tylko kliką „naiwniaków", idących na lep jakowejś obcej propagandy? Chyba nikt.

Skądinąd wiemy, że ludzie ci stawiają przed sobą cele potężne, o skali często międzynarodowej, ogólnoświatowej. Idea burzenia i przebudowy wszystkiego w imię zasad sprawiedliwości, w imię prawa każdego człowieka do życia, w pełnem tego słowa znaczeniu sięga niewątpliwie rozmiarów t. zw. wielkich idej. Stwierdzić to można zupełnie bez angażowania się po jednej ze stron.

A więc twierdzenie p. Sochora, że Polsce brak wielkiej idei, że kwiat jej kultury usycha w dusznej atmosferze marazmu i jałowości, upada — na szczęście.

I owa ideja wypływa m. in. właśnie z tego, co p. Sochor uważa za przyczynę umysłowego indyferentyzmu społeczeństwa — z „realizacji" programu niepodległościowego

„Rzeczywistość jednak przyniosła dużo rozczarowań" — pisze on. Oto właśnie przyczyna reakcji ideowej.

Tym, którzy w szarych, legjonowych maciejówkach szli umierać w latach 1914, 15, 16 i później, mówiono o „Polsce ludowej". W jej miejsce mamy jak pisze autor artykułu „... **najniższą stopę życiową wśród odpowiadających nam wielkością państw Europy... Ludzie (są) pochłonięci pracą zawodową dużo ponad normy postulatywne socjalizmu**". Naturalnie, że to, co mówi p. Sochor o nędzy w Polsce, to mało, niezmiernie mało. Ale w ramach niniejszego artykułu możemy się ograniczyć chwilowo do tego. Kto — zapytujemy — ponosi winę za strącenie „szklanych domów" niepodległościowych marzeń w bagno wyzysku i nędzy, tak straszne, że aż trudno znaleść przymiotnik, któryby prawdziwie oddał jego przerażające oblicze. Bez wątpienia ci, którzy na tem ubili grubszy interes: kapitaliści, przemysłowcy, wielcy agrarjusze i ich idejowi sprzymierzeńcy. Oni to, a nie robotnicy,

Jerzy Porembski.

Modlitwa.

Rozpacz nam szepce słowa —
— o głodzie.
Głód nas w tarany zamieni" ...
— idziemy żebrzącym pochodem
Idziemy skróś josnych kamienic —
I mówią nam —

Poeci — żebracy — proroki:
— Że my to ludu trzon, my ziemi solą,
— Że my to moc, że wnet już łuny wstaną z mroków
— Że my, że my, że prole ...

I mówimy wam: —

Zapały oziębną na chłodzie,
— Że wiersze głodu nie zmniejszą ludzkiego
— Że trzeba wielkim ludzkości pochodem,
iść i... (rękomi jok błoto czarnemi)
Modlić się o chleb codzienny ...
— — — — — — — — — — — —
I w jazgotliwej bytu niepewności
I w ascetycznem porządaniu życia ...
Drogi do chleba pięściami uprościć —
Pięścią rozstrzygnąć: być albo
nie być — —
I chyba Boga niema —
bo przecie . .
Zapomniały o nas Chrystuse ...
Modlić się chcemy jok dzieci . .
I jeść chcemy codzień, jak dzieci —
— — — — — — — — — — — — — —

Mocni i wielcy posiadacze chleba
Murem przed wami stajemy, my goli —
Szczęścia waszego,
— Śmiechu,
— Radości,
niechcemy grzebać.

— My głodni,
— biedni,
— prości,
Żebrzemy u was, naszego chleba ...
Przyszliśmy do was się modlić —
„Powszedniego dajcie nom chleba" ...
Naszego powszedniego —
wy mocni i wielcy —
wy bogi ...

C. Zciwolyd.

Jesienne niebo.

Bezdenne morze tęsknoty ...
Fole chmur morzące o cichej przystani;
Chód słońca złoty
I ptaki lecące długiemi smugami.

Deszcz liści.

Poranny, zimny wiotr rozwiewo mgły z szelestem;
W złotych promieniach słońca szron żywem srebrem skrzy,
Z samotnych, smutnych drzew ulewnym lecą deszczem,
Zeschnięte, martwe liście — żółte, jesienne łzy.

chłopi, czy drobnomieszczanie na ślepy tor skierowali i później wykoleili szczere, rzeczywiste dążenia jedynej wówczas prawdziwej siły — ludu. Oni teraz wyzyskują pracę innego człowieka, oni mają przywileje, oni trzęsą państwem. Ich to świetnym wynalazkiem, tłuste niosącym zyski jest ów solidaryzm, o którym zresztą p. Sochor (nieśmiało, coprawda), mówi:

„Przynosi to (solidaryzm — P. K.) jednak skrępowanie jednostki, wprawdzie na rzecz dobra powszechnego, ale interpretacja tego „dobra" jest dość dowolna". Bo przecież solidaryzm, który mówi o „równości narodowej", podczas, gdy p. przemysłowiec jedzie na Rivierę „dla celów kuracyjnych", a robotnik (prawdopodobnie również dla celów kuracyjnych) poprostu głoduje — jest jaknajoczywistszym fałszem.

Słusznie — powie być może czytelnik — ale jaki zachodzi związek pomiędzy panowaniem kapitalizmu w Polsce, a kryzysem kultury. Spróbujemy na to odpowiedzieć.

Jedną z cech wytwórczości kapitalistycznej jest m. in. i to, że oblicza się ją wyłącznie na zysk. Kapitalizm robi tylko to, co mu może, dziś czy jutro, zwiększyć dywidendy. Szerzenie oświaty wśród potężnych mas ciemnego chłopstwa i proletarjatu — najkardynalniejszy warunek wzrostu wszelkiej kultury — nietylko, że tych zysków w obecnych warunkach nie zwiększy, ale, przeciwnie, zagrozi wogóle ich istnieniu. Dzisiaj oświecony robotnik, czy chłop, albo nawet biedniejszy drobnomieszczanin jest niebezpieczny już przez sam fakt swego wykształcenia. Zbyt przejrzysty jest bowiem obecnie figowy listek ideologji oficjalnej, by członek warstwy uciskanej o pewnej bodaj kulturze umysłowej nie przejrzał jej szybko na wylot i nie postarał się o rozszerzenie swych poglądów. To jedno.

Po drugie kapitalizm filantropję pozostawia rozkładającym się mumjom, sentymentalnym paniusiom, drżącym ze strachu przed piekłem. Sam, mimo pozorów, jest bardzo od niej daleki. Nie uczy, nie szerzy oświaty, ponieważ mu to w danej chwili nie potrzebne ze względów ściśle gospodarczych.

W okresie swego wzrostu, gdy spełniał jeszcze rolę postępową w sensie uprzemysławiania kraju, nawoływał masowo do oświaty (por. polską literaturę doby pozytywizmu), ponieważ potrzebne mu były ogromnie kadry inteligencji zawodowej. Polski przemysłowiec nie umiał sam kierować nowocześnie urządzoną fabryką. Musiał kształcić odpowiednio mózgi ludzkie, by je móc później zakupić. Świetny rozwój techniki zmniejszył zapotrzebowanie na ludzi wykształconych w gospodarce obliczonej tylko i wyłącznie na zysk i wyzyk.

Stąd tak ogromnie rozpanoszony w Polsce analfabetyzm i w skandalicznych wprost rozmiarach fala powrotnego analfabetyzmu, wynikła z braku warunków na zajęcia kulturalne (lektura, teatr etc).

Brak pracy, nędza pracujących dopełniają obrazu położenia tych mas, wśród których zajmowanie się sprawami o charakterze kulturalnym zakrawa już na heroiczny wysiłek.

A przecież niema żywego, płodnego ruchu kulturalnego bez odpowiednich warunków materjalnych, dających wszystkim obywatelom możliwość swobodnego zajmowania się i takiemi sprawami, które nie

wchodzą w zakres zarobienia na jutrzejszy obiad; warunków, zapewniających jednocześnie zbyt dziełom sztuki.

Najlepszym dla powyższych wywodów argumentem jest obecny t. zw „kryzys kultury", zgodnie stwierdzany przez wszystkie odłamy polityczne.

Bezprzecznie większość luminarzy naszej współczesnej literatury żyje na mieliźnie beziideowości, co swój artystyczny kształt znajduje w perwersji formalnej i treściowej (— jaknajdalej od niebezpiecznych zagadnień. Nie mieszajcie nam tylko sztuki z polityką!). Tego rodzaju oportunizm i przymykanie oczu jest niewątpliwie pewną formę aprobowania obecnego stanu rzeczy.

Nie wszyscy jednak piszący „tworzą" po linji interesów panującego ustroju. Powstała i rozwija się literatura inna. Reakcja „czynników decydujących" wyraża się w kneblowaniu jej ust czy to przy pomocy cenzury, czy materjalnego uniemożliwiania bytu.

Odwrotnie, cieszący się względami (czasem zupełne miernoty, **nawet artystycznie,**) otrzymują synekurki, posady, nagrody, wawrzyny i t. p.

Z punktu widzenia korzyści obecnego reżymu jest to koniec końców dobrze zrozumiałe. „Chcemy miec tylko taką literaturę, która nas nie potępia, a jeżeli to czyni, to pozornie tylko, pozornie"!

Skutek jednakowoż takiej polityki jest mocno opłakany.

„Te teatry państwowe i ta cała etatyzacja literatury . . . serwilizm" (jak pisze p. A. Sochor) przyśpieszają tylko proces gnicia naszej współczesnej literatury. Wyprana chemicznie z wszelkiej swobody myśli traci, rzecz prosta, możliwość twórczego rozmachu Źródło tego stanu rzeczy, jak powyżej wykazaliśmy, wypływa z charakteru naszego obecnego ustroju.

W ramach tych samych przyczyn mieści się to „zepsucie" intelektualne młodzieży, rozmiłowanej zanadto w sportach i kulcie siły, a lekceważącej sobie „ducha". Któż bowiem nas rozmaicie umundurował i ustami kapitana szkolnego hufca P. W. pouczał, jakto najlepiej wsadzić bagnet w brzuch przeciwnika (i potem zakręcić!). Cel takich smutnych maskarad jest niezmiernie przejrzysty: jak najmniej prawdziwej kultury umysłowej, jak najwięcej ogłupiającego drylu wojskowego, szowinizmu, subordynacji i t. p. Nietrudno pojąć, czyim interesom tego rodzaju wychowanie wychodzi ogromnie na zdrowie.

Znów widzimy, że i ten czynnik przyczynę swą posiada w — nazwijmy rzecz po imieniu — faszyźmie.

Pan August Sochor w zakończeniu swoich wywodów słusznie podnosi:

„ . . . **Życie duchowe ludzi zapewne nie zamrze, a kultura postawiona już na tak wysokim stopniu nie runie, jednak, jak wszystko obecnie, przechodzi ona wyraźny kryzys. Wyjdzie z niego, gdy kulturalna część społeczeństwa, świadoma przyczyn, znajdzie antidotum i podejmie śmiałą pracę nad podniesieniem ogółu. Tę walkę ułatwiłaby jakaś wspólna idea".**

Upowszechnienie pewnej idei, to rzecz naogół długa i żmudna. Zwłaszcza wśród takiej grupy ludzi, która przez wzgląd na swoje zajęcia zawodowe (a chodzi nam w tym wypadku o pisarzy, poetów, malarzy i t. p.) różni się często między sobą w zagadnieniach natury zasadniczej. Jednakowoż są sprawy, które **łączą** wszystkich niezależnych, postępowych artystów, bez względu na ich różnice światopoglądowe. Taką **wspólną** sprawą jest troska o kulturę, walka o prawo swobodnego wypowiadania myśli, przeciwko drakońskim metodom cenzury i władz, o szerzenie oświaty wśród potężnych mas ludu.

Jeżeli sprawcą obecnego rozkładu kultury jest — jakżeśmy to wyżej wskazali — faszyzm, walka o niniejsze postulaty będzie zarazem walką przeciw faszyzmowi.

Podobne wysunięcie na plan pierwszy **wspólnych** dążeń i spraw zdolne jest zespolić wszystkich niezależnych literatów wogóle, a młodzież literacką (jako najmniej skorumpowaną) w szczególności, w szerokim froncie obrony kultury. Takie złączenie sił może stanowić pierwszy, potrzebny krok naprzód w walce z jałowością i marazmem literatury współczesnej, o prawo do literatury wielkich idej.

Młodzież literacka całej Polski jaknajszerzej powinna poprzeć ten front, który dzięki inicjatywie redakcyj *„Lewara"*, *„Lewego Toru"*, *„Nowej wsi"* i *„Poprostu"* wchodzi już obecnie w stadjum realizacji.

Piotr Korzuch

LE SCHUTZ.

Jola czyli grzebanie w przeszłości

Fragment z prozy: „O niepokoju i śmierci".

Jola szła przez deszcz stukający po rynnach, przez błoto i brzęczącą ulicę. Myśli tłukły się po głowie jak krople po szybach. Zdołu szło ku górze głupie pragnienie, które streszczało się w słowie Jen. Nienawiść, zaciekła miłość a raczej ciskanie się po krańcach uczuć wyczerpywało nerwy. To wszystko sięgało jeszcze głęboko wstecz,w czas, w zabłocone miasteczko. Dlatego te przeszłe dzieje wyłaziły z dziwną wyrazistością. Nie wiadomo tylko czy były zgodne z prawdą i nie pokryte godzinami przeżywań. Z mroku przeszłości sterczały uczucia. To było dawno, bardzo dawno.

Z daleka mgliły się góry, szklannie przeźroczyście. Topiły się potem w mroku w deszczu, w żółtawych oparach. Noc chlupocząca kałużami i ślepemi latarniami spływała z góry. Jola mieszkała wtedy w szarym dużym domu. Dom było widać z daleka bo był jedynym dwupiętrowym w okolicy. Stary stróż manjak z wyłupiastymi oczyma mieszkał na parterze. Z odwieczną punktualnością pchał zwiędłemi rękami dużą bramę i trzaskał nią ponuro. Wtedy zaczynała się noc. Trzeba było długo, długo czekać na nerwowy dzwonek opóźnionego lokatora. Wtedy pędził na zmęczonych nogach z dziwnie obleśnym uśmiechem i otwierał bramę. Po-

woli i uroczyście. To czekanie po nocach zjadało go doszczętnie. W bladej izbie dusiły go potworne skurcze serca. Jęczał wtedy hipochondrycznie i ślina spływała mu z ust. Nieznośna myśl o dzwonku tkwiła zagrzebana jednym końcem w jakimś dalekim zdarzeniu a drugim kłuła w mózg. Owo zamierzchłe zdarzenie odżywało w każdym dzwoniącym lokatorze i wyciągało cały pęk uczuć. Wtedy głuchy płacz bulgotał w krtani. W każdym razie trzeba przyznać, że noc stróża koncentrowała się w dzwonku.

Owego wieczoru który był krańcowym etapem myśli Joli owa usypiała w poczuciu dziwnej nierzeczywistości zdarzeń i bólu głowy. Mała blondynka jej „wychowanica“ oddychała przez grube różowe usta równo i spokojnie. Jola miała okresy kiedy nienawidziła jej. Ale teraz była jej obojętna i chwilowo nieistniejąca. Zmarszczone zmęczone myśli wpiły się w mózg i falowały wolno. Z góry już spływał sen. Jola słyszała jeszcze kroki na korytarzu. To stróż wolno ciągnął nogi. Męczyła go beznadziejna bezsenność. Oglądał zamazaną ulicę przez brudne szyby. Potem znów schodził wdół i znów wychodził na górę. To szurganie stało się nieodłącznym składnikiem nocy dlatego też sen mógł spokojnie spływać. Wtem głuchy huk wskoczył Joli na piersi. Obrzydliwy, miękki, ciemny dźwięk. Potem wszystko spadło głęboko w ciszę. Zdała sobie sprawę z nieobecności kroków nieludzko wyrwanych z ciemności. Rozległy się trzaskania drzwiami i szepty. Głos obijał się o schody i piętra. Jola ubrała szlafrok i zbiegła w dół. Stróż umierał. Leżał na łóżku i trzymał ręce na kołdrze. Rysy miał opuchłe i poorane. Głuchy bulgot worał mu się w oddech Ustami puszczał małe, różowe bańki. Jola zaczęła się trząść. Nie mogła ruszyć się z miejsca i drgała na całym ciele. Oczy stróża były wbite w przestrzeń z siłą stali. Zdawało się ze życie zamieniło się w wzrok i promieniowało jak słup światła. Stróż ruszał rękami tak jakby chciał coś złapać i zginał chude palce. Potem z przeraźliwą powolnością zaczął sobie przejeżdżać paznokciami po skórze. Jola trzęsła się wciąż. Lokatorzy gonili z hałasem po schodach. Ktoś przebiegł koło niej i trącił ją. Zauważyła, że obok niej stoi chłopak. Miał pyjamę w czerwone paski. Wymęczona kropla potu błyszczała na czole i zdawało się że twarz pęknie wzdęta od wewnątrz. Stał w naprężeniu i wgryzał się w twarz umierającego stróża. Misterjum napiętych dusz elektryzowało rzeczywistość i przepajało drgającymi jak struny nerwami. Śmierć. Trzej ludzie z których jeden miał umrzeć trwali zamknięci w swoich myślach jak w bańkach. Olbrzymi wysiłek wydostania się z siebie. Śmierć szła. Wtem zadzwonił ktoś przy bramie. Stróż krzyknął i skonał. Właśnie przyszedł lekarz.

Jola zobaczyła że twarz chłopca wygląda jak pękniety balon. Oddychała ciężko. Chłopiec pytał:

— Proszę pani, prawda że on umarł.

Potem poszedł schodami w górę potykając się. Jola poszła też. W domu była śmierć. Ktoś ruszał się, teraz nie rusza się już. Umarł. Jakieś pierwotne, plugawe zdziwienie wyskoczyło z głębi. Chciało jej się śmiać a raczej cicho idjotycznie skomleć. Weszła do pokoju i zobaczyła, że jej wychowanica oddycha równo przez grube różowe usta Siadła na krzesle. Ciągle męczyło ją zdziwienie; jakieś dziwne uczucie nadskomplikowania życia. Wtem zobaczyła, że na kanapie siedzi chłopak i patrzy w powałę. Pomyślała że pewno pomylił się bo mieszka o piętro wyżej. Ten chłopiec nazywał się Jen Jola siadła koło niego i wzięła go na kolana. Popatrzyła mu w oczy ale zlękła się bo zdawało jej się że widzi dwie głębokie jamy Czuła jego chłopczykowate, chude ciało zalatujące ciepłem i świeżą męskością. Nagle przypomniała sobie stróża. Kotłowały się myśli. Wszystko stało się wyskokiem w dziwność, ponad życie To łączyło się ze śmiercią gdzieś daleko w nieskończonych ciemnościach podobnych do oczu Jena. Napróżno świadomość przedzierała się rozpaczliwie przez nagle wyrosłą dżunglę przybyszów z głębi. Jola szeptała:

— Czy mnie kochasz? Kochasz mnie? — —

Jen bełkotał coś przez swoje piękne, trochę skrzywione usta. Potem zaczął ją całować i wdzierać się rękami za szlafrok i koszulę. Uczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa i w ciele rozlało się coś ciepłego, pociągająco-lepkiego. Powtarzała:

— Kochasz mnie?

W odpowiedzi nie słyszała nic tylko jednostajny bełkot. Ze złością zrzuciła go z siebie. Jen siedział teraz na podłodze i patrzył na nią poważnie, pytająco. Piękne usta miał pół otwarte, lekko nabrzmiałe. Jola powiedziała:

— No chodź . . .

Zrobił nerwowy ironiczny tik wargami i nie ruszał się. Pomyślała że robi czasem wrażenie idjoty. Musiała go wziąść za rękę i posadzić na kanapie. Wtem usłyszała że ktoś stąpa po schodach. Szepnęła:

— Idź. — —

On zaczął się śmiać. Taki śmiech z głębi duszy, dziwny, potwornie gruby, duży, rosnący jak w gorączce, poprostu namacalny. Zdawało się że rozsadzi ludzkie pojęcia i będzie się wiecznie tułał po międzygwiezdnych przestrzeniach.

Leo Lipschütz.

OD REDAKCJI.

Z kilku stron spotkały nas zarzuty, że nasze pismo jakkolwiek ma, według programu, wyrażać całą młodzież akademicką, staje się jednostronnym. Otóż oświadczamy, nawiązując do wytycznych, podanych w pierwszym numerze „Naszego Wyrazu“, że zapatrywania polityczne czy społeczne autorów są dla nas bez znaczenia, przy umieszczaniu artykułów. Kierujemy się t y l k o i c h w a r t o ś c i ą l i t e r a c k ą. Nie naszą już rzeczą że, jak dotychczas dobre artykuły dostajemy przeważnie z kół bezpartyjnych lub lewicowych.

Strajk.

24 stycznia odbył się strajk protestacyjny przeciw wygórowanym opłatom na wyższych uczelniach. W Krakowie nie strajkowało tylko W. S. H. Na wezwaniu do strajku podpisały się: „Jedność", Bratniak Teologów, Stow. Stud. A. G., Bratniak Medyków i Kółko Rolników. Podpisu Bratniaka ogólnego nie zauważyliśmy.

Zjazd przedstawicieli Bratniaków.

(kk) W dniach 27 i 28 stycznia 1936 odbył się w Krakowie zjazd przedstawicieli Bratnich Pomocy Państwowych Szkół Akademickich. Na zjeździe reprezentowane były 4 środowiska (14 Bratnich Pomocy) Brakowało przedstawicieli Poznania.

Omówiono i uchwalono szereg b. ważnych spraw. Na plan I-szy wysuwają się sprawy opłat, „Ligi" i TPMA. Zjazd jako program minimalny uchwalił zrównanie opłat na wszystkich latach studjów i obniżenie ich o 35 proc. od średniej kwoty na danym wydziale, bez opłat za egzaminy. Ryczałtowa opłata za egzaminy powinna być zniesiona a wprowadzić należy osobne opłaty za każdy egzamin, nie przekraczające 5 zł. Czesne należy rozłożyć na 4 raty. Zdaniem zjazdu, trzeba zaniechać obecnej metody ulg indywidualnych. Należy zwiększyć: ilość odroczeń do 20 tu procent na wszystkich latach studjów, kwoty na stypendja i subwencje dla stowarzyszeń samopomocowych. Zjazd uchwala powstrzymanie się młodzieży od wpłacania opłat aż do załatwienia żądań. Opłaty czesnego należałoby składać w wysokości ustalonej przez zjazd do depozytu rejentalnego. Stronę techniczną mają opracować Bratnie Pomoce.

Dyskusja nad Akad. Zw. Zbliżenia Międzynarodowego „Liga" wykazała, że organizacja ta dojrzała obecnie do likwidacji, jako instytucja urzędowa która — dzięki swej strukturze — nie może być traktowana jako organizacja akademicka. Nie reprezentuje ona dążeń młodzieży. Władze „Ligi" pochodzą z mianowania, a nie z wyboru, jak to być powinno w organizacji młodzieżowej. Nieudolną swoją działalnością skompromitowała się „Liga" nietylko w Polsce, ale i zagranicą. W dyskusji przytoczono przykłady fałszywego informowania zagranicy o stosunkach młodzieżowych w Polsce. Zjazd żąda likwidacji „Ligi" i złożenia sprawozdania z dotychczas działalności, oraz powołania do życia naprawdę akademickiej organizacji, która obejmie agendy „Ligi". Zjazd wzywa akademików do bojkotu „Ligi".

Drugą kosztowną i niepotrzebną instytucją jest Tow. Przyjaciół Młodz. Akad. zajmujące się jedynie pośrednictwem między władzami, które mogą mieć bezpośredni kontakt. Pośrednictwo to pociąga za sobą liczne koszta administracyjne, a efekty pracy są znikome. Dzięki specjalnym ustawom T. P. M. A. niszczy stare organizacje, działające sprawnie, przejmując ich fundusze. Z niekompletnych, jak dotąd, zestawień (oficjalnych sprawozdań nie ogłoszono) wynika, że fundusze rozdawane są niesprawiedliwie, i z subwencyj korzystają w nieproporcjalnie wielkim stopniu mniejszości narodowe. Zjazd domaga się likwidacji Towarzystwa, oddania funduszów Rektoratom i podania publicznego sprawozdania finansowego za lata 1933 — 35.

Zjazd żąda pozatem zniesienia Obozów Przysp. Gospodarczego, oraz przywrócenia praktyk indywidulnych, rozdzialanych przez towarzystwa akademickie. Wrazie niespełnienia żądań wzywa Zjazd do bojkotu OPG. Konieczne są również pewne ułatwienia, jak uprawnienie do zdawania egzaminów studentów korzystających z bezpłatnych urlopów, przywrócenie zniżek kolejowych 30-letnim studentom, obniżenie opłat wpisowych i zniżenie do połowy czesnego dla absolwentów składających tylko egzaminy.

Ze sprawą autonomji szkół wyższych łączy się omawiane na zjeździe zagadnienie wzajemnego porozumienia organizacyj akademickich. Sprawy tej nie należy rozwiązywać przez wprowadzenie nowej urzędowej instytucji „ogólnopolskiego związku Bratnich Pomocy". Zasadniczą rolę odgrywa tutaj sprawa majątku stowarzyszenia. Wrazie przystąpienia poszczególnych Bratniaków do takiego związku, tracą one swój majątek, który automatycznie przechodzi na własność scentralizowanej instytucji. Tymczasem chodzi tu o porozumienie i wspólną akcję, a nie o nowy urząd.

Dużo też czasu poświęcono sprawom ideowym. Omówiono projekt pielgrzymki akademickiej młodzieży do Częstochowy w dniu 3 maja 1936. Zjazd wyraził życzenie zawieszenia krzyży na salach wykładowych, jako wyrazu uczuć religijnych młodzieży. W sprawie żydowskiej wypowiedziano się za wyznaczeniem osobnych miejsc dla studentów żydów podczas wykładów i ćwiczeń — w imię czystości życia narodowego, następnie za ograniczeniem liczby asystentów i lekarzy pochodzenia żydowskiego na klinikach uniwersyteckich, oraz za wprowadzeniem paragrafu aryjskiego w stowarzyszeniach akademickich. Zaprotestował też zjazd przeciw ukrainizacji kresów południowo - wschodnich, uznał konieczność szerzenia tam polskości i wyraził przekonanie, że najlepiej potrafi prowadzić tę akcję Obóz Narodowy. Uznano też, że niedopuszczalnem jest utworzenie wyższej uczelni ukraińskiej.

Zjazd zakończono odśpiewaniem „Hymnu Młodych".

Wybory do Bratniej Pomocy S. U. J.

Tegoroczne wybory do B. P. S. U. J. odbędą się z początkiem marca. Poprzedzi je Walne Zebranie Członków, na którem zostanie załatwiona kwestja absolutorjum dla ustępującego Zarządu i sprawy bieżące. Następnie złożą kandydujące stronnictwa swoje listy i w 3 dni po ich złożeniu, najdalej w tydzień po Walnem Zebraniu i w każdym razie przed 20 marca odbędzie się głosowanie. (W sali Kopernika U. J., albo w Studjum Rolniczem.)

Głosowanie jest tajne i proporcjonalne. (Zgodnie z ustawą akademicką, która dopuszcza zwykłe głosowanie tylko w organizacjach poniżej 200 członków.) Głosuje się na listy wystawione przez poszczególne stronnictwa. By wystawić listę stronnictwo musi zebrać 203 podpisy członków B. P. (okazało się zresztą przy poprzednich wyborach, kiedy jedna z list przeszła, mimo, że nie miała 203 podpisów, że wcale nie musi. W tym wypadku zależy to od p. prof. Gwiazdomorskiego).

Narazie zapowiada się, że będziemy mieli 3 listy:

1. Lista Kół Prowincjalnych. Przeważają tu. wpływy Związku Młodzieży Demokratycznej (która uzyskała przy ostatnich wyborach większość. Bratniak U. J. jest jedynym Bratniakiem w Polsce, gdzie prezesem nie jest członek Młodz. Wszechpolskiej) i Strzelca. Jak się zdaje członkowie Kół Prowincjonalnych, którzy dotychczas głosowali solidarnie, w tym roku solidarność złamią i będą częściowo głosowali także na listę P.M.A. i N.M.A. Jako kandydat na prezesa zostanie na tej liście wystawiony kol. Zych, albo kol. Gaweł, przyczem raczej ten pierwszy.

2. Lista Niezamożnej Młodzieży Akademickiej. Wystawia ją t.zw. „Front Ludowy" tj. Legjon Młodych, Polska Akademicka Młodzież Ludowa i Zw. Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej.

3. Lista Polskiej Młodzieży Akademickiej. Wystawiają ją wspólnie: Młodzież Wszechpolska, Odrodzenie, Promieniści. Jak się narazie wydaje ta lista ma najwięcej szans. W tych dniach naprzykład zapisała Młodzież Wszechpolska do Bratniaka dużą ilość studentów Teologji. — (Wpisy które pierwotnie miały się skończyć 1-szego lutego, zostały przedłużone). Kandydował tu będzie prawdopodobnie kol. Trecz.

Wybory do Bibljoteki Prawników.

Odbędą się również z początkiem marca. Głosuje się tu podobnie, jak przy wyborach do Bratniaka, z tą różnicą, że do wystawienia listy wystarczy 60 podpisów. Zostaną prawdopodobnie wystawione następujące listy:

1. Lista Z. P.M.D.

2) Lista Polskiej Młodzieży pracującej.

Academica.

Od tego numeru począwszy wprowadzamy kolumnę „Academica". Będziemy na nią w każdym numerze poświęcali 1 - 2 stron. W kolumnie „Academica" zamieszczać się będzie: informacje o ważniejszych wydarzeniach w życiu akademickiem, o poczynaniach organizacyj akademickich, oraz nadesłane artykuły dyskusyjne, — omawiające za-

mierzenia i poczynania różnych stronnictw akademickich. Kolumna będzie prowadzona absolutnie bezpartyjnie i będziemy się starali w każdym numerze oświetlić daną kwestję z kilku punktów widzenia. Dla ułatwienia pracy w części sprawozdawczej prosimy organizacje akademickie o nadsyłanie nam informacyj o swoich poczynaniach. Artykułów dyskusyjnych w tym numerze jeszcze nie zamieszczamy.

3. Lista Strzelca. (Na prezesa będzie kandydował prawdopodobnie kol. Sikora Stan.)
4. Lista Niezamożnej Młodzieży Pracującej. (Kandydował będzie prawd. kol Dubiel Władysław.)
5. Polska Młodzież Akademicka z kol. L. Sikorą jako kandydatem na prezesa.
6. Wspólna lista wystawiona przez stowarzyszenia żydowskie.

„Zmory".

„Zmory“ nie schodzą z afisza. Wciąż aktualne, wciąż obrabiane. Jest w tem pewna pikanterja: powodzenie i rozgłos swej powieści zawdzięcza Zegadłowicz sferom, którym właśnie zależy, żeby taka książka nie była głośna, nie była czytana i omawiana publicznie (To będzie chyba odpowiedź na pytanie p. Skoczylasa, czemu należy zawdzięczać. że o skonfiskowane drug e wydanie „Zmór“ dobijają się ludzie).

Podczas wieczoru zorganizowanego przez Koło Przyjaciół Żywego Słowa U. J.. przemawiali pp. Bielatowicz, Leśniodorski, Skoczylas i Wyka. Potępiono „Zmory“ z punktu widzenia narodowego i katolickiego. Skrzywił się krytyk literacki. Powiedziano, że zadużo jest hałasu o nic.

Na uwagę zasługuje przemówienie p. Bielatowicza. Wszystkiemu winni żydzi. Nadchodzący okres odrodzenia narodowej literatury będzie w wysokim stopniu wyrazem duszy polskiej, której obcy jest wszelki seksu. lizm.

W dyskusji padło kilka dobrych myśli, które jednak niezostały odpowiednio „uzewnętrznione“. (jaka szkoda, że programy dzisiejszej szkoły nie uwzględniaja retoryki, tak, jak to jest potrzebne). Przy sposobności zaczepiono K. H. Rostworowskiemu, przypomniano też kampanję przeciw Żeromskiemu. Padło sporo ostrych słów. Nastrój wojowniczy.

Wieczór dyskusyjny u Pacyfistów.

(sd) Akadem. Zw. Pacyfistów urządził we wtorek 4. II. wieczór dyskusyjny p. t. „Z za drutów kolczastych“ (Sprawa Ossietzky'ego). Postacią centralną tego wieczoru był (zresztą zgodnie z tytułem) Karol Ossietzky przywódca pacyfistów niemieckich, redaktor „Welt Bühne“, mieszkaniec hitlerowskiego obozu koncentracyjnego i niedoszły laureat nagrody pokojowej Nobla na rok 1935. Historja prosta człowieka, który przeżywszy wojnę, znienawidził ją i starał się zapobiec jej na przyszłość. W walce tej porywa wprawdzie masy, organizuje wielkie demonstracje antywojenne, demaskuje tajne zbrojenia; ale na przeszkodzie staje ruch hitlerowski. Po dojściu do władzy Hitlera dostaje się on do obozu koncentracyjnego, gdzie mimo licznych protestów pozostaje po dzień dzisiejszy. Przedstawiony zostaje przez prawie wszystkich byłych laureatów Nobla do nagrody i nie otrzymuje jej tylko dla tego, iż ze względów politycznych min. spr. zag. Szwecji H. Kott wymusza nie przyznanie jej wogóle na rok 1935. Tyle powiedzieli prelegenci (K. Markówna, Boruchowicz, i dr. Gross.) W dyskusji (L Piwowar, Cekiera, Pilc,) uaktualniono problem wskazując na powszechność i bliskość metod hitlerowskich (kwestja traktowania więźniów politycznych, ruch i metody walki endecji). Na marginesie warto zaznaczyć, że wieczór ten zgromadził zgórą 700 osób.

Wartości i granice formalizmu.

(j) 8. lutego zorganizowało Koło Polonistów U. J. w Sali Kopernika odczyt prof. K. Górskiego pod tym tytułem.

Prof. Górski dzieli krytyków literackich na 2 grupy: formalistów czystych i tych, którzy przyznają krytyce formalnej duże znaczenie, ale uważają, że forma jest tylko jednem z zagadnień, które dzieło nasuwa, zagadnieniem, owszem, ważnem, nawet dla historji kultury (styl epoki, jako odbicie jej charakteru). ale nie ważniejszem od zagadnień innych. Sam siebie zalicza do tej drugiej grupy i resztę odczytu poświęca na zwalczanie stanowiska czystych formistów.

Przedewszystkiem więc broni treści. Uważa, że z tego, że tasama fabuła ujęta w inną formę, jest już inną treścią (używam tej nazwy w znaczeniu potocznem) nie można wysnuwać wniosku, że treść istnieje tylko w formie, a więc właściwie nie istnieje wcale. Tak, mówi prelegent, takasama treść nie istnieje, ale istnieje treść b. podobna, i właśnie badanie podobieństw i różnic dwóch treści jest jednem z zadań krytyka. Zresztą odrebne istnienie w dziele formy i treści uznają i formiści, tylko, albo treść nazywają jakimś innym terminem, albo nawet poprostu tylko biorą ją w cudzysłów.

Dalej broni prelegent ideologji i badania ideologji dzieła przez krytykę. Uważa, że pogardliwe odnoszenie się do tych, którzy starają się z dzieła poznać, jakie poglądy chciał autor narzucić czytelnikom i nazywanie ich moralizatorami jest niesłuszne; bez poznania ideologji nie zdołamy zbadać, żeby już zostać przy tem, co dla formalistów najważniejsze konstrukcji, powieści. Prelegent przytacza przykład jednego z magistrów polonistyki, który, pisząc pracę o „Placówce“ nie zastanowił się przedtem głębiej nad tem, co Prus w niej chciał wyrazić. Ostatecznie wyszło mu z tego że „Placówka“ jes skomponowana źle, bo chłop polski, który według rzekomego planu Prusa miał cierpieć krzywdy od Niemców, cierpi je wyłącznie przez swoje wady i wskutek tego kompozycja „Placówki“ jest niezgrabnem połączeniem dwoch linij etc.

Może dygresja w literaturę rosyjską zajęła prelegentowi zadużo czasu. Pozatem odczyt wygłoszony był spokojnie i przekonywująco.

Współczesna Literatura Polska.

(j) Dnia 9. lutego zorganizował Z. P M. D wieczór prelekcyjny pod tym wspólnym tytułem. Przemawiali pp. K. Czachowski, Z. Leśniodorski, W. Balicki i J. Bajorek. Szkoda, że nie dało się prelekcyj połączyć z wczorajszym odczytem prof. Górskiego, bo zwłaszcza dwaj pierwsi prelegenci rozważali podobne, jak on, zagadnienia i powoływali się na niego.

Pierwszy przemawiał K. Czachowski.(Społeczny charakter współczesnej literatury polskiej). Prelegent uważa, że nieporozumienia we współczesnej krytyce literackiej w Polsce wypływają ze stosowania wzorów obcych (formizm). Dzieło sztuki jest o tyle wartościowem, o ile przełamuje właśnie szablon. Oryginalność nie jest jednak nieograniczona i historja literatury nas uczy, że te dzieła zyskały sławę światową, które najlepiej wyrażają jakiś naród. Główną wartością dzieła powinna więc być zgoda z tendenciami narodowemi.

Zdaniem prelegenta, tendencją całej literatury polskiej jest społecznictwo i patrjotyzm. Protestuje więc przeciw sposobowi podejścia do krytyki formalistów, którzy ideologję wykluczają.

Nakoniec prelegent zaznacza, że 3-ci tom „Współczesnej Literatury Polskiej“ ukaże się już w najbliższych dniach.

Z. Leśniodorski (Granice Literatury pięknej) przedewszystkiem przytacza wyniki kilku ankiet, z których wynika, że największą popularnością jako literaci cieszą się (w ujęciu statystycznem) nie ci, którzy tworzą literaturę w ścisłem znaczeniu piękną, lecz publicyści, reporterzy (ci, którzy piszą reportaże) itp. Także z ilości wydawanych druków tylko $1/3$ to literatura piękna.

Tem niemniej słowo drukowane cieszy się wielkiem popytem. Powodem tego jest według prelegenta dziwność obecnego życia, któremu niedorówna żadna fantazja. Pozatem ludziom współczesnym nie chce się myśleć i wolą szukać gotowych szablonów myślowych w dziełach.

Prelegent uważa, że trzeba wprowadzić jakieś wartościowanie w tej powodzi wydawnictw. Nie zgadza się jednak z formistami, którzy jako sprawdzian literackości przyjmują fikcję: on przyjąłby za sprawdzian raczej to, ile autor w dzieło wkłada siebie i o ile transponuje opowiadaną, nawet tylko rzeczywistość.

W. Balicki (Teatr i jego repertuar) ubolewał nad małem zainteresowaniem dla dramatu i autora dramatycznego wśród współczesnego społeczeństwa, a J. Bajorek, przechodząc analitycznie wybitniejszych współczesnych autorów stwierdził, że we współczesnej literaturze polskiej niema jednolitości.

„Chimery" — L. Chiarellego.

Pieniądz! To wielkie słowo, dookoła którego toczy się akcja. Jakaś sadystyczna żądza kazała Klaudjuszowi Rialto nurzać palce w sercu społeczeństwa, pieniądzu i doprowadziła go do ruiny. Rogai posiada pieniądze, ale niema wzajemności Mariny Rialto, która jest jedyną uczciwą w tem towarzystwie kobietą. Rogai może ratować swemi pieniędzmi umyślnie przez siebie zrujnowego Klaudjusza, lecz uczyni to tylko za cenę Mariny. I oto Rialto stojąc nad przepaścią, ratuje się, rzucając swą żonę w ramiona konsekwentnie dążącego do celu potentata. Wszędzie pieniądze, pieniądze i pieniądze. Nie posiada ich tylko Lucjan Lanci, utracjusz hulaka bezczelny cynik, a przytem obok młodego poety jedyny znów uczciwy mężczyzna. Nic nie przedstawia dla niego wartości, ani tysiąc lirów, ani narzucająca się kochanka. Woli bawić się lalką i prosić męża swej byłej kochanki o likwidację dawnych stosunków. Postać ta jest bardzo ciekawa. Lucjan stoi ponad całą akcją, chwilami nią kieruje, ale robi to tylko z kaprysów, ot, tak sobie, dla zabicia nudy. Wie, że to wszystko jest chimeryczne. Do tego samego wniosku dochodzi Marina, jednak dopiero, gdy najnaoczniej przekonuje się o podłości swego bezwolnego męża. Wzdryga się przed oddaniem Rogaiowi, lecz prosi go o ratunek ze względu na grożącą jej mężowi ruinę. Nie ucieka z młodym duchem, poetą, który kocha ją i którego ona kocha a po jego samobójstwie i po planowanem przez siebie zabójstwie Rogai'a, nie mogąc dojść do porozumienia ze swym mężem ani ze swem sumieniem, w napięciu histerji zgadza się być kochanką Rogai'a dla jakiejś okrutnej chęci poniżenia samej siebie. Sztuka pod względem kompozycyjnym znakomicie zbudowana. Autor dyskretnie przeplata sceny w najwyższym stopniu tragiczne bezczelnemi powiedzonkami kp ącego ze wszystkiego Lanci'ego. Tłumaczenie pani Jachimeckiej poprawne.

Z radością zobaczyliśmy na scenie w roli Lucjana Lanci Zygmunta Nowakowskiego. My, młodzi znaliśmy go dotychczas tylko jako feljotonistę i pisarza. I oto pozostał nim również na scenie. Nowakowski na scenie w roli Lanci'ego nie jest aktorem, lecz właśnie złośliwym satyrykiem z pod znaku „Kucharza doskonałego" czy „Dzwonka Niedzielnego". Jest tym znanym Nowakowskim, który przedewszystkiem złośliwie kpi. I w tego rodzaju ujęciu właśnie dla niego tak charakterystycznej roli witamy jego powrót na scenę z najszczerszem uznaniem.

Pani Jaroszewska wykazała jeszcze raz, że jest znakomitą aktorką, łącząc umiar z maximum expresji. Scena, w której Marina kieruje rewolwer w stronę Rogaia była obok wielu innych prawdziwym majstersztykiem kunsztu aktorskiego. Pan Biegański w roli męża Mariny zagrał swą rolę z taktem. Jedyne zastrzeżenie miałbym co do pana Kaliszewskiego. Można się zgodzić by lokaja grać kilka razy tak samo, ale poeta z „Chimer" zabardzo był podobny do poety z „Kandidy". Ale to może już wina reżyserji. Pan Kaliszewski stał się już seryjnym poetą („Trzy asy i jedna dama") i dlatego sugestywnie gra swe role w podobnem ujęciu. Te same ruchy, ten sam sposób mówienia i ten sam żenujący czasem temperament chwilami raziły. Reszta zespołu stanęła na wysokości swego zadaniu.

W dekoracjach i strojach przeważała barwa fioletowa i czerwona, co chwilami czyniło miłe zresztą wrażenie nierealności.

zetge

Sezon muzyczny.

Jak na nasze skromne krakowskie wymagania sezon muzyczny przedstawia się nieźle. Ale każdy muzyk rwie włosy z rozpaczy dowiadując się tego, co się dzieje w Warszawie: Horowitz, Milstein, Schnabel, Walter, zapowiadają jeszcze Rachmaninowa i Landowską (ta ostatnia ma być w Krakowie też). I to jak nazłość wtedy gdy Polskie Radjo zerwało kontakt z Filharmonją.

No, ale powróćmy do tego co dzieje się w Krakowie. Odbył się cykl koncertów artystów z Z.S.S.R. Otworzyła go śpiewaczka Barsowa, której niestety nie słyszałem, ale która ma być według zdania krytyków zjawiskiem wyjątkowem na poziomie Anderson (ta też była niedawno w Warszawie a u nas śpiewała przy 50 słuchaczach).

Drugim zrzędu był skrzypek Ojstrach laureat konkursu Wieniawskiego. Słyszeliśmy go już zeszłego roku. Posiada on szeroki, matowy ton, śliczne piana, nienaganną technikę (zwłaszcza prawej ręki) ale przecież gra jego zostawia wrażenie czegoś niedopełnionego, niewystarczającego. Nie może być tu mowy o żadnym objektywiźmie bo o, strach jest typowym lirykiem. Przyczyną tego jest może jakaś nieśmiała kompromisowość, strach przed zupełnem rzuceniem się w dramatyczność utworu. Zato utwory drobne i eleganckie wypadły świetnie. Również niezła była „Melodja hebrajska" i 3 część koncertu Mendelssohna. Pierwsze 2 zawiodły pod względem kompozycyjnym. Osobna pochwała należy się świetnemu, młodemu akompaniatorowi.

Ciekawym pianistą i trudnym problemem dla krytyka jest Ginzburg. Przy dziwnie niechlujnej i niepewnej technice palcowej i akordowej posiada on niebywałą technikę interpretacji i barwy dźwięku. Szybkie gamy i oktawy wypadają jeszcze jako tako, choć te ostatnie nie są oparte na solidnej umiejętności tylko na nerwowym i niejednolitym drganiu ręki Natomiast akordy są słabe a Ginzburg pokrywa je obficie pedałem i niebywałym temperamentem o charakterze orgjastycznym. Te braki, są moim zdaniem wynikiem niewłaściwego podejścia do powyższych problemów.

Interpretacja robi wrażenie naciętej do możliwości technicznych ale Ginzburg potrafi wydobyć z niej maksimum efektów. Efekty te są oparte na kontrastach i można by je nazwać makabryczno dynamicznemi: z jednej strony ostry, charczący ton wydybyty za pomocą kombinacyj pedałowych, z drugi-j strony miękka czasem aż rozmazana kantylena (Ginzburg często przesadza).

Z programu śliczna chociaż niebachowska była Siciliana. Appasionata miała świetnie niesamowite momenty, niezły był Liszt. Ogółem odniosłem wrażenie że mamy do czynienia z rozkładającym się niestety, ale wielkim talentem. Uważam że przerwanie koncertów na parę lat i studja u jakiegoś wybitnego pedagoga zrobiłyby z Ginzburga znakomitość pianistyczną. Ale Ginzburg wygląda na megalomana.

Podobnym trochę pianistą ale na wyższym poziomie, raczej dynamicznym niż niesamowitym jest Rubinstein. Trudno pisać o artyście w pełni rozwoju. Można powtórzyć to co zostało już raz napisane może trochę inaczej.

Przy niebywajei prężności i poczuciu dramatyczności posiada Rubinstein delikatne piano nigdy nie rozmazane, zawsze czyste i skoncentrowane. Gra jego jest dumna, władcza i zmusza do takiego a nie innego słuchania utworu. Przytem przychodzi mu to stosunkowo łatwo bo interpretacja jego jest średnią podświadomych życzeń wszystkich prawie słuchaczy. Rubinstein nie należy więc do tych którzy muszą najwyższym wysiłkiem wtłaczać w publiczność swoje koncepcje. Na tem polega jego popularność ale i w tem kryje się niebezpieczeństwo łatwizny; dlatego słusznie nazwał go Stromenger Don Juanem fortepianu.

Oprócz rzeczy znanych jak Toccata c-dur z adagio które należy chyba do najpiękniejszych rzeczy jakie napisano, Impromtu fis- dur i Petruszki usłyszeliśmy parę rzeczy nowych młodego rosyjskiego kompozytora Szostakowicza, który jest znany i ceniony zwłaszcza w Ameryce. Jego króciutkie preludja, jak można sądzić po jednorazowym słucharium są proste w pomyśle i w budowie i stosunkowo mało perwersyjne w harmonizacji. Szostakowicz nie sili się na nowoczesność. Widać u niego reminiscecje nawet z Szopena i nie ubrane wcale w nowoczesną harmonję Widać też wpływy Debussyego i Strawińskiego (Polka była zupełnie podobna w charakterze do „Małej Suity"), których kompozytor się wcale nie wstydzi. ale to wszystko jest przetopione przez zdecydowany talent. Talent ten polega moim zdaniem (ograniczam się tu do słyszanych utworów) na niepowtarzaniu się, na pomysłach konstrukcyjnych i na ich bezkompromisowem wykonaniu. I. I.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pani S.K.-na, Łódź: To nie była ironja.

Pan Z-ba, Krzeszowice: Naturalnie.

Pan Sch-er: Do tego numeru za późno. Co do drugiej sprawy — jeszcześmy nie zadecydowali

Z Teatru „Bagatela“.

Pod kierownictwem Ludwika Lawińskiego odbywają się próby aktualnej rewji p. t. **„Ras Gugsa w Negusjanji“** krakowskich autorów red. Krakowieckiego z muzyką J. Lea. W rewji bierze udział cały zespoł Bagateli z nowo pozyskanemi siłami Basią Relską, Konradem Ostrowskim i Edmundem Zayendą na czele.

Z końcem lutego odbędzie sie w teatrze „Bagatela“ jubileusz 25-lecia pracy scenicznej cenionego artysty sceny polskiej Ludwika Lawinskiego. Jubilat wystąpi w operetce specjalnie dla jubilata napisanej. Rewje wystawiane na scenie teatru „Bagatela“ cieszą się wielkiem powodzeniem u publiczności, która uznając pracę całego zespołu darzy ich rzęsistemi oklaskami.

W najbliższych dniach ukażą się na ekranie „Bagateli“ następujące filmy: Requioia, Królewska kurtyzana, Anna Karenina.

„Apollo“

Pepi — jedyne, bezapelacyjnie najlepsze arcydzieło wiedeńskie.

Becky Sharp — pierwszy na świecie film w barwach naturalnych w roli gł. MIRIAM HOPKINS.

Pożądanie — w roli głów. MARLENA DIETRICH, Gary Cooper, reż. Fr. Borzage.

Daj mi tę noc — I. najnowszy film prod. am. z JANEN KIEPURĄ.

„Sztuka“

Szanghaj — w gł. roli Loretta Young, Charles Boyer.

Tajemnica czanrego pokoju w głównej roli BORYS KARLOFF.

Noce egipskie — w gł. r. Eddie Cantor

Muzyka w powietrzu

KINO „UCIECHA“

STAROWIŚLNA 16.

zapowiada wielkie filmy:

„Całe miasto mówi o tem“ — wspaniały sensacyjny film w ujęciu humorystycznym

„Osaczona“ — w roli głównej dawno niewidziana SYLVIA SYDNEY

KINO „PROMIEŃ“ TSL.

PODWALE 6.

wyświetla obecnie najnowsze niegrane filmy:

„Wojna w królestwie walca“ — wielki zespoł gwiazd: Renata Müller, Willi Fritsch, Paweł Hörbiger, Teo Lingen.

Amfitrjon — Willi Fritsch, Adela Sandrock.

Na ekranie kina „A D R I A“

Wielka epopea lotnicza, film o wspaniałej reżyserji, grze i technice p. t. **„Brygada Śmiałych“**, w roli gł. JAMES CCGNEN. Ostatnie zdobycze techniki lotniczej!

Senzacyjna komedja **„Niebezpieczny kochanek“**. — W rolach głównych: JOAN BLONDELL, GLENDA FARREL i PAT O'BRIEN.

Kino „A T L A N T I K“

Stradom 15.

najbliższe programy:

DODEK NA FRONCIE — Dymża

MELODJE WIELKIEGO MIASTA — Eleonora Powell

ILONKA — Franciszka Gaal

NIE ODCHODŹ ODEMNIE — Elżbieta Berger

Redaktor odpowiedz.: Pustelnik Władysław. Wydawca: Jurkiewicz Jerzy. Redaguje młodzież akademicka.
Adres Karmelicka 33/3 Tel. 148-17. Konto P.K.O. № 415 385. — Roczna prenumerata 2·50 zł.
Drukarnia Mieszczańska Kraków, Dolnych Młynów 3.